

1939

WRZEŚNIOWE HISTORIE

CZŁOWIEK W KLESZCZACH GEOPOLITYKI

dr hab. FILIP MUSIAŁ,
dyrektor Oddziału IPN
w Krakowie

Wrzesień 1939 r. postrzegamy z perspektywy gry mocarstw – Niemiec i sowieckiej Rosji – realizujących swe imperialne plany, a także Polski usiłującej obronić swą niepodległość. A w cieniu tej wielkiej historii rozgrywały się indywidualne dramaty...

Atak niemieckiej III Rzeszy na Polskę zapoczątkował II wojnę światową. Z perspektywy geopolitycznej wojny nie wywołali jednak sami Niemcy, ale Berlin wraz z Moskwą. Agresja niemiecka z 1 września i następująca po niej agresja sowiecka z 17 września były konsekwencją wspólnych planów dwóch zbrodniarzy XX w. – Adolfa Hitlera i Józefa Stalina.

Niemiecko-sowiecka przyjaźń

To, czego Europa doświadczyła po wrześniu 1939 r., było efektem zbliżenia niemiecko-sowieckiego. Mało kto dzisiaj pamięta, że chodzi nie tylko o sojusz polityczny ostatecznie przypieczętowany paktem Ribbentrop-Mołotow, który przesądził o wybuchu II wojny światowej, ale także o współpracę militarną i gospodarczą. Gdyby Niemcy nie uzyskiwali surowców z ZSRS, nie mieliby czym napędzać pancernych zagonów i samolotów, które po wrześniu 1939 r. podbijały kolejne europejskie kraje. Zaś gdyby nie



Wojenni uchodźcy w rejonie Trzebini. Wrzesień 1939 r.

mieckie pieniądze płynące do Moskwy w zamian za surowce, proces dozbierania ZSRS byłby wolniejszy.

Niemcy chcieli przekreślić zmiany, które w Europie wprowadził ład wersalski. Z kolei Sowiet dążyli do rozszerzenia komunistycznej rewolucji na kraje zachodniej Europy. Dążenie do nakreślenia zupełnie nowej mapy Europy jednoczyło więc te dwa, oparte na zwalczających się wzajemnie ideologiach, państwa totalne. I chociaż gdzieś na widnokręgu majaczył już nieuchronny konflikt

między Berlinem a Moskwą, do 1941 r. łączyła je oczywista wspólnota interesów. Niosła ona korzyści obu partnerom, jednocześnie pobudzając imperialne apetyty Hitlera i Stalina.

W osamotnieniu

W 1939 r. los Polski został przesądzony. Nie tylko w wyniku działań Niemców i Sowietów, ale także na skutek niewywiązania się przez Francję i Wielką Brytanię z sojuszniczych zobowiązań. Jak zauważył sądzony w procesie norymberskim nie-

miecki generał Alfred Jodl: „W roku 1939 byliśmy oczywiście w stanie zniszczyć samotną Polskę, ale nigdy nie było w naszych możliwościach, ani w 1938, ani w 1939 r., odparcie koncentrycznego ataku sojuszników. I jeżeli nie przegraliśmy już w 1939 r., to tylko dlatego, że w czasie kampanii polskiej mniej więcej 110 francuskich i brytyjskich dywizji zachowało się kompletnie biernie, mając za przeciwnika jedynie 23 niemieckie dywizje”.

Zachód, uległy wobec Hitlera przed wrześniem 1939 r.,

miał nadzieję, że dążenia imperialne Berlina zostaną ukierunkowane na wschód. Bierność wynikała z błędnego założenia, że pozwoli ona na uniknięcie wojny z Niemcami. Już w 1940 r. te kalkulacje zostały brutalnie zweryfikowane.

Człowiek w wielkiej historii

Trwająca od początku września do pierwszych dni października obrona Polski była niejednokrotnie heroiczna. Tym bardziej że trzeba było bronić się przed atakami dwóch mocarstw oraz będącej w sojuszu

z Niemcami armii słowackiej. Tej walki nie dało się wygrać.

Chociaż zazwyczaj koncentrujemy się na ukazaniu działań zbrojnych i aktywności politycznej, dla milionów Polaków wrzesień 1939 r. niósł strach, chaos, dramat utraty bliskich lub rozłąki z nimi. Cywilom, którzy w walce nie uczestniczyli, wrzesień przyniósł przerażenie i poczucie klęski, a często niedowierzanie i rozczarowanie, że Rzeczpospolita obronić się nie zdołała. Wrzesniowe historie pokazują tragizm ludzkich losów w obliczu wojennego kataklizmu.

„WOJNA OBRONNA” III RZESZY

Wspomnienia niemieckich żołnierzy pokazują, jak ogromny wpływ na ich świadomość miała ówczesna propaganda

dr hab. JOANNA LUBECKA,
Oddział IPN w Krakowie

W niemieckich archiwach zachowało się wiele pamiątek, listów i albumów ze zdjęciami niemieckich żołnierzy z kampanii polskiej (Polenfeldzug). Są świadectwami różnorodności doświadczeń, ale i skrajnej ich percepcji: od współczucia i przerażenia po akceptację okrucieństwa. Wspomnienia niemieckich żołnierzy pokazują, jak ogromny wpływ na ich świadomość miała ówczesna propaganda. Przede wszystkim zdołano przekonać Niemców, że Polska jest realnym zagrożeniem dla III Rzeszy, stąd znaczna część żołnierzy Wehrmachtu wierzyła, że bierze udział w wojnie obronnej.

„Odpowiadamy ogniem”

1 września 1939 r. Hitler przemówił w Reichstagu: „Dziś w nocy Polska po raz pierwszy ostrzelała nasze terytorium (...). Od 5.45 odpowiadamy ogniem!”. Nieznany z nazwiska żołnierz artylerii górskiej, autor dziennika wojennego, pod datą 24 sierpnia 1939 r. zapisał: „Czasem ludzie stają na ulicy – gdzieś tam buczy uliczny megafon: »polskie dywizje okrążyły Wolne Miasto Gdańsk«. Czy będzie wojna?”. W przededniu wojny stwierdził: „zagrożenie ze strony Polski marszem na Berlin wymagało od rządu Rzeszy szczególnych środków”. Rzekome zagrożenie uzasadniało przygotowania do wojny i późniejszy atak.

28 sierpnia 1939 r. Heinrich Klüglein, nauczyciel historii i języka francuskiego z Bremy, a od 27 sierpnia żołnierz Wehrmachtu, zapisał w pamiętniku: „Gdy zakończyliśmy załadunek, o 7 godz. nasz pociąg ruszył. Dokąd? Polska czy Francja?”. Klüglein nie był wielbicielem Hitlera. W wyniku donosu jednego z uczniów odebrano mu prawo nauczania historii. W jego dzienniku i listach do żony Grety pojawiają się wątpliwości dotyczące sensu wojny. Jego spostrzeżenia z kampanii wrześniowej nie przypominają zapisów wojennych, mało w nich walki, wiele obserwacji. 3 września napisał do żony: „1 września wkroczyliśmy do Polski i jesteśmy teraz nad Wartą, 60 km na zachód od Łodzi. Marsz do tej pory przebiega bez jakichkolwiek trudności. Okolice są opuszczone przez ludność cywilną, byłoby chodź gdzieś chce pozbać opiekę, a więc mamy



Niemiecki żołnierz piszący list z fontu, wrzesień 1939 r.

mnóstwo jedzenia”. Trzy tygodnie później pisał spod Warszawy: „O mnie w ogóle nie musisz się martwić. Niebezpieczeństwa związane z tą kampanią nie były jak dotąd większe niż te, które towarzyszą przekraczaniu Sögerstrasse (jedna z ulic w Bremie, gdzie mieszkała rodzina Klüglein – JL)”.

Podobne doświadczenia z walk w Polsce miał Klaus von Bismarck (prawnuk Ottona), który służył jako podpułkownik w 32. Dywizji Piechoty. We „Wspomnieniach”, spisanych po wojnie stwierdził: „1 września, podczas ataku na Polskę, jednostki naszego pułku nie stoczyły większych walk (...). Ciężkie walki czekały nas dopiero przy zdobywaniu Modlina oraz starej, rosyjskiej jeszcze twierdzy, Zakroczymia”.

Zupełnie inne spostrzeżenia zanotował i opatrzył fotografiami autor albumu wojennego Kurt Seeliger z oddziału obserwacyjnego. Już 3 września wkroczył do zbombardowanego przez Luftwaffe, dopalającego się Wielunia. Zdjęcie podpisał: „Płonący Wieluń, który wkrótce przypominał stertę gruzów”. Wrzesień Seeligera nie był „spacerkiem po ulicy”, był pełen walk, zakończonych udziałem w bitwie pod Kockiem.

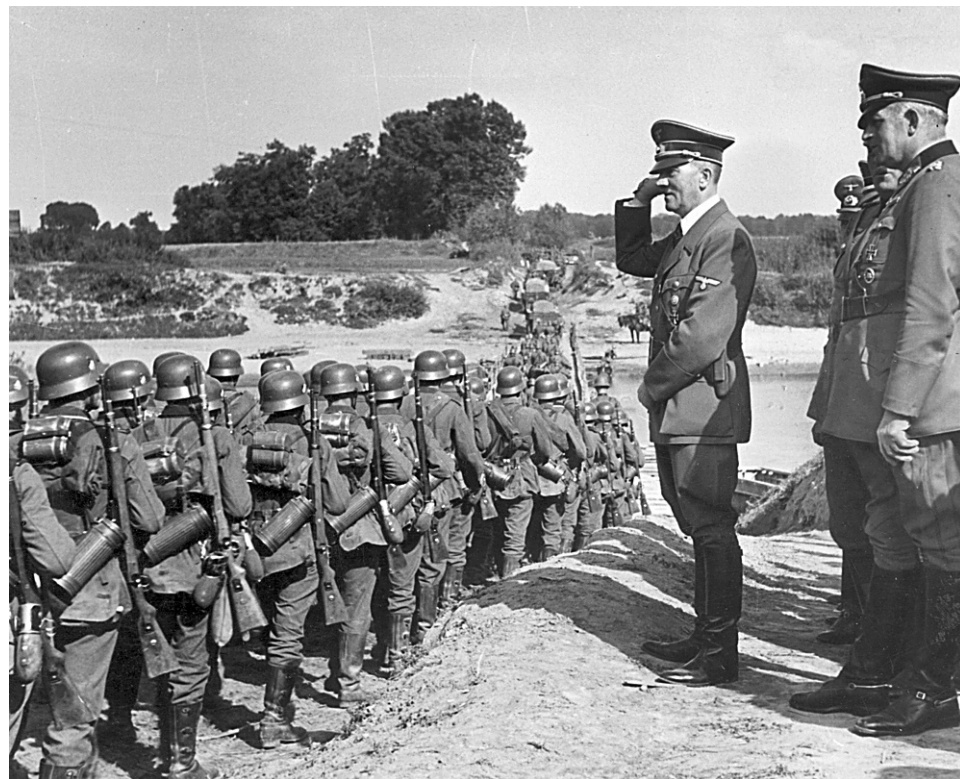
Bieda

Niemcy wkraczali do kraju, który był zauważalnie bied-

niejszy niż ich ojczyzna. Przede wszystkim polska prowincja i małe miasteczka nie przypominały zamożniejszych wsi niemieckich. Kurt Seeliger pisał: „nie da się opisać, jak fatalne są tu drogi”.

Propaganda nazistowska przekonywała, że bieda jest dowodem niższości cywilizacyjnej i przede wszystkim rasowej Polaków-Słowian. Seeliger zdjęcie z 8 września przedstawiające polską rodzinę chłopską spożywającą posiłek podpisał: „ugotowane ziemniaki z mlekiem. Bieda chłopów jest nie do opisanie. Na glinianej podłodze w kuchni były tylko dwa łóżka ze słomą, ławka i dwa krzesła”. 1 października pojawia się refleksja: „Bieda ludności stała się w międzyczasie większa, na drogach leżą zwłoki koni, z których wycięte są całe kawały mięsa”.

Svea Hammerle badająca niemieckie albumy wojenne zwróciła uwagę, że fotografie są dobierane tendencyjnie, zgodnie z przekonaniami żołnierzy o ich wyższości cywilizacyjnej, a podpisy pod nimi odzwierciedlają stereotypy ukształtowane przez propagandę. Ukazują dyktando między biedną, żyjącą w brudzie polską ludnością a niemieckimi żołnierzami, którzy mimo wojennych warunków zawsze są schludni i dbają o higienę.



Wojska niemieckie podczas przeprawy przez Wisłę w okolicach Chełmna. Przeprawę obserwuje Adolf Hitler

Obsesja Freischärler

„Franktireure, Freischärler, Fensterschützen, Dachschützen, Heckenschützen” – wolni strzelcy, strzelcy zza węgła, snajperzy – takie określenia padają często w pamiętnikach i albumach niemieckich żołnierzy. Zdjęcia, które przedstawiają ciała zabitych Polaków, często noszą podpis: „zabity Polak, prawdopodobnie żołnierz”. Żołnierze Wehrmachtu chcieli, by wierzone, że nie zabijają bezbronnnych cywilów.

Propaganda utrzymała przekonanie, że polska ludność cywilna jest uzbrojona i przygotowana do czynnego oporu. Że ruch partyzancki jest wszechobecny. W niemieckich szeregach budziło to swoistą psychozę. 3 września Seeliger zanotował w albumie: „Nacierające wojska były zaciekle atakowane przez ludność cywilną z każdego domu, tak, że zniszczenie miasta (Wielunia – JL) było nieuniknione”.

Zgodnie z rozkazami Hitlera „strzelcy” mieli być likwidowani na miejscu, a w przypadku, gdy nie można ich było zidentyfikować, dowódcy niemieccy mieli zastosować wszelkie środki odpowiedzialności zbiorowej. Woldemar Troebst służył w batalionie inżynierskim. 7 września napisał w liście do żony: „Słońce świeci. Robi się bardzo gorąco. Wiele

wiosek płonie. W rowach i na polach leży wielu niedawno zastrzelonych cywilów”. W albumie Kurta Seeligera, pod datą 8 września, znajdujemy zdjęcia z rynku w miejscowości Drzewica. Z opisu wynika, że w wyniku strzelaniny został zraniony jeden z niemieckich żołnierzy. Na zdjęciach widać kilku Polaków z podniesionymi rękami, na kolejnym kilkunastu cywilów zgromadzonych na rynku w otoczeniu żołnierzy Wehrmachtu. Podpis pod zdjęciem wyjaśnia, jak zakończyła się ta historia: „dopiero po tym, gdy zagrożono, że wszyscy zostaną rozstrzelani, niektórzy ludzie wskazali, kto był strzelcem”. Seeliger nie pisze, co się stało z aresztowanymi. Prawdopodobnie postąpiono zgodnie z rozkazami Hitlera.

Niemiecki historyk Jochen Böhrer, który potwierdził ustalenia polskich historyków, że cywilna ludność w Polsce nie była przygotowana do walki partyzanckiej, podsumował, że przekonanie o „walczącej z Wehrmachtem ludności miało fatalne skutki. Na całym obszarze natarcia płonęły gospodarstwa i domy, strzelano do cywilów, do piwnic wrzucano granaty ręczne”.

Refleksja?

Po latach Klaus von Bismarck wspominał polską ludność cy-

wilną, która po bombardowaniu Modlina szukała w ruinach ciał zabitych bliskich i resztek własnego dobytku: „Wtedy po raz pierwszy ujrzałem ludzi, którzy dotknięci zostali wojną, którzy cierpieli przez nas”.

Po kapitulacji Warszawy, przejeżdżając ulicami zniszczonego miasta, Bismarck wysiadł z samochodu i podszedł do dużej grupy cywilów, którzy do wiaderk czerpali wodę z ulicznego hydrantu. „Ci ludzie prawdopodobnie nie widzieli jeszcze z tak bezpośredniej bliskości żadnego z tych zniechęconych przez siebie nazistowskich oficerów i wpatrywali się we mnie oczyma pełnymi nienawiści (...). To, że żadną miarą nie uważałem się za nazistowskiego oficera i że nim się nie czułem, nie mogło nic zmienić w sytuacji, którą w tej właśnie chwili po raz pierwszy pojąłem w całej rozciągłości: za wszystko, co Hitler rozpoczął tą wojną w imieniu narodu niemieckiego i ja będę współodpowiedzialny, i ja zostanę za to osądzony”.

Kurt Seeliger podczas wojennej denazyfikacji jednoznacznie stwierdził: „w czasie obu wojen, przez prawie 11 lat byłem do dyspozycji ojczyzny. Nigdy nie byłem aktywnym działaczem żadnej partii i czuję się wolny od jakiejkolwiek winy”.

OD JASŁA DO SAMBORA

3. Brygada Górską Strzelców do historii przeszła jako jedna z dwóch wielkich jednostek Wojska Polskiego, które przekroczyły granicę jako formacje nierozbite.

Drugą, znacznie bardziej znaną, była zmotoryzowana 10. Brygada Kawalerii płk. Stanisława Maczka

dr KRZYSZTOF PIĘCIAK,
Oddział IPN w Krakowie

Jest lato 1939 r. Gorące do słownie i w przenośni, trwają bowiem przygotowania do wiszącej w powietrzu wojny. Beskidy, od Żywca po Bieszczady, rozbrzmiewają głosem wojskowych komend, stukotem łopat i kilofów, pośpiesznie fortyfikowana jest granica dotąd, choć niespokojna, nie brana pod uwagę jako teatr działań wojennych. Zmiana nastąpiła wraz z powstaniem zależnej od Niemiec Republiki Słowackiej. Nieuwzględniana w planach wojennych rubież stała otworem, a atak od południa zagrażał tyłom armii i zapleczu przemysłowemu kraju.

„Wiedzą, o co chodzi i chcą się bić”

Kopał także Stanisław Sewerniak, dziewiętnastolatek z Boguchwały pod Rzeszowem, ochotnik. Wraz z nim szykowali okopy i rozciągali kolczaste druty po beskidzkich grzbietach nad Duklą jego rówieśnicy, a nawet młodszy.

„Młodzież zna swoją broń, ale jest bardzo słabo wyszkolona w służbie polowej i walce” - ocenia gen. dyw. Kazimierz Fabrycy, dowódca Armii „Karpaty”, której powierzono obronę granic od Górców aż po Karpaty Wschodnie. Większość - w rzeszowskiej Obronie Narodowej, gdzie służy Sewerniak, aż trzy czwarte - to jednak nie przedpoborowa młodzież, ale rezerwiści w wieku 37-42 lat. O nich dowódca armii napisze: „Starsi - przeważnie żołnierze z wojny polskiej, a nawet światowej - są zupełnie niezłe wyszkoleni”. I doda: „Nastroje dobre. Wiedzą, o co chodzi i chcą się bić”.

„Ponieważ mam mało wojska i przeważnie słabe wojsko”, pisze dalej gen. Fabrycy, „na leży położyć jak największy nacisk na organizację obroną terenu i na zniszczeniu”. Słabość wojska nadrabia staranne przygotowanie obrony. Jej częścią stają się przeszkody drogowe, zapory, pola minowe, wysadzenie dróg i mostów.

Wojna sięga po mieszkańców w Beskidach Łemków: „z sąsiedztwa wzięli Sztęfana Fedosza, Mychała Chomiaka, Wasyla Łazorczyka, razem 35 młodych mężczyzn z całej wioski” - wspominał Fedor Gocz z Zynbranowej. Jedni będą ko-



Zmęczone twarze żołnierzy Wojska Polskiego po dwóch tygodniach kampanii, wrzesień 1939 r.

pać okopy wokół rodzinnej miejscowości, inni walczyć - jak Chomiak, który trafi do saperów; gdy Niemcy przekroczyli Przełęcz Dukielską, wysadzi most w sąsiedniej Tylawie. Inni służą w batalionach nowosądeckim i gorlickim, walczą ze Słowakami pod Gładyszowem i Niemcami pod Grybowem.

Trafiają do batalionów Obrony Narodowej (ON) - jednostek formowanych terytorialnie, złożonych z ochotników. Poszczególne baony różnią się liczebnością i uzbrojeniem. Silniejsze, jak gorlicki czy jasielski, liczą około siedmiuset ludzi, dysponują bronią maszynową i moździerzem; mają prowadzić krótkotrwałe działania obronne w oparciu o dogodny, górski teren, przy wsparciu regularnych wojsk. Słabsze, jak rzeszowski, to cztery stu ludzi i dwa cekaemy; są przewidziane do działań wartowniczych oraz ochrony zaplecza armii. W praktyce i one zostały skierowane do obrony granic na tych odcinkach, które uznano za mniej zagrożone.

Piętą achillesową oddziałów ON jest gorsze niż w regularnych oddziałach piechoty wyszkolenie, niedobór broni

ciężkiej i zupełny brak artylerii (która w nowoczesnej wojnie zadaje wrogowi największe straty). Jest i trudność logistyczna: oddziałom ON zaopatrzenie dowożą pojedyncze ciężarówki i wozy; dowódcy improwizują tabory z chłopięckimi podwozami. Dopóki bataliony operują blisko domów, statycznie - to wystarczy. Od kąd zaczynają się wielokilometrowe marsze odwrotowe, towarzysząc im żołnierze stają się głód i brak amunicji.

Oddziały ON wraz z jednostkami Korpusu Ochrony Pogranicza i miejscowej Straży Granicznej, 1. pułkiem strzelców podhalańskich i nieliczną artylerią wchodzi w skład sformowanych latem 1939 r. jednostek nazwanych Brygadami Górkimi Strzelców. Mają bronić granicy od Żywca po Łupków. Na czele obrońców Beskidu Niskiego i Bieszczadów staje płk Jan Kotowicz - za młodu ochotnik do Legionów, a teraz dowódca 3. BGS.

W boju i w marszu

Gdy do ppor. rez. Piotra Nowaka dotarł rozkaz skrzyknienia kompanii, był 24 sierpnia 1939 r., godzina 14.00. Do kompanii „Dębowiec” z Jasielskie-

go Batalionu ON zgłasza się 181 ludzi, głównie rezerwistów - w cywilu rolników i rzemieślników z Dębowca, Duląbki, Ciekłina i innych okolicznych wiosek. Stawiają się szybko: zebranie oddziałów odbywa się między sąsiadami i pobliskimi wioskami, alarmowanymi przez gońców.

Mundury oraz ekwipunek czeka w domach, broń w pobliskich magazynach. I, co ważniejsze, choć to wysłużona broń francuska, pamiętająca I wojnę światową, żołnierze są zmotywowani by jej użyć, broniąc - czasem dosłownie - swoich domów i rodzin. Nim minie sześć godzin, wyruszą na pozycje do wsi Żydowskie (wbrew nazwie, to wieś łemkowska, w sercu Beskidu Niskiego), 30 kilometrów na południe od Jasła i Dębowca.

Droga przez Żydowskie i Krempną przecina sięgające siedmiuset metrów góry i wiążą się między nimi Wisłokę. Dalej trakt osiąga Żmigród Nowy - a stąd blisko już do Jasła, prosta droga do Krosna, Sanoka, Chyrowa i Lwowa. Tędy 7 września ruszy 1. Dywizja Górską Wehrmachtu. Dla jej żołnierzy, ćwiczonych w wysokich Alpach, nie są wyzwania-

niem beskidzkie ścieżki. Dywizja naszpikowaną artylerią, bronią maszynową i pojazdami dowodzi przebojowy gen. Ludwig Kübler. Ambitnie prze naprzód, by jak najszybciej wykonać postawione przed nim zadanie - przekroczyć góry i zaatakować Lwów.

Na ich drodze staną żołnierze rzeszowskiej i jasielskiej Obrony Narodowej. Nie powstrzymają Niemców - ci są wielokrotnie silniejsi - ale robią, co mogą, by opóźnić ich marsz. Niszczą drogi i mosty, kontratakują. Gdy ostrzeliwana przez niemiecką artylerię i samoloty obrona zaczyna pękać, obrońcy cofają się w stronę Żmigrodu. Kilku, z jednym cekaemem, zostaje: Władysław Kamiński, Franciszek Setlak i Izidor Świątek. Zginą broniąc drogi w głąb kraju i do rodzinnych wsi: Duląbki i Ciekłina; osłonią odwrót kolegów. Z ich kompanii dębowieckiej co trzeci wychodzi z walki ranny lub kontuzjowany.

„Ktoś płacze, ktoś inny klnie, ile wlezie...”

Ścigając się z niemieckimi strzelcami górkimi, którzy, korzystając z motocykli i cię-

żarówkę pędzą *Blitzkriegiem* na wschód, brygada płk. Kotowicza organizuje kolejne linie obrony. Walczy o Duklę, Rymaków i Sanok, bije się w Bieszczadach. Żołnierze, choć pozbawieni armat i niemal bez zaplecza, wciąż maszerują. Niektóre oddziały, odcięte przez pędzących drogami Niemców, przedzierają się górami do swoich. Sztabowcy zbierają rozbitków, odtwarzają rozproszone oddziały.

Był 14 września 1939 r., gdy kpt. Kazimierz Czechowski stał w wiosce Spas, wciśniętej głęboko w karpaccie doliny. Szef sztabu 3. Brygady Górskiej Strzelców widział mijających go żołnierzy, wyczerpanych wielodniowymi walkami, mających w nogach dziesiątki kilometrów przemaszewanych każdego dnia.

Zanotuje: „Bezpośrednio po »stój« padali z miejsca na ziemię i zapadali w głęboki sen, którego nie zdołało przerwać nawet wydawanie kolumny”. Pod Starym Samborem zbierał oddziały do kolejnej bitwy, która okazała się ich ostatnią w tej kampanii.

„Ktoś płacze, ktoś inny klnie, ile wlezie. Oglądam się w stronę granicy, niektórzy zdejmują czapki i szepczą słowa modlitwy” - zapisze por. rez. Tadeusz Radwański z batalionu „Przemysł”. I dodaje: „Smutny jest los żołnierza, gdy musi opuszczać kraj rodzinny, by walczyć dalej o jego niepodległość”. Opuszczać kraj, bo gdy trwał bój o Stary Sambor, do dowództwa brygady dotarł rozkaz, by wobec wkroczenia Armii Czerwonej opuścić Polskę.

Brygada płk. Kotowicza 18 września przekracza przełęcz Użocką. Do historii przejdą jako jedna z dwóch wielkich jednostek WP, które przekroczyły granicę jako formacje nierozbite (drugą, znacznie bardziej znaną, była zmotoryzowana 10. Brygada Kawalerii płk. Stanisława Maczka). Żołnierze zdają broń i trafiają do węgierskich obozów internowania, z których wkrótce będą jeden za drugim wymykać się, by dołączyć do formujących się na Zachodzie polskich oddziałów. Ich śladem już wkrótce ruszą kolejne tysiące oficerów, żołnierzy, ochotników do odbudowywającego się we Francji Wojska Polskiego.

WIKTOR KAJA

– OFIARA ZBRODNI POMORSKIEJ 1939

W żadnym innym okupowanym regionie obywatele polscy niemieckiego pochodzenia nie odegrali tak dużej roli w eksterminacji polskich sąsiadów

dr TOMASZ CERAN,
Delegatura IPN w Bydgoszczy

Terminem zbrodni pomorskiej 1939 określa się eksterminację polskiej ludności cywilnej, osób chorych psychicznie oraz pomorskich Żydów przeprowadzoną w ponad 400 miejscowościach na terenie przedwojennego województwa pomorskiego w pierwszych miesiącach okupacji niemieckiej.

W okresie tym w żadnym innym regionie okupowanej Polski, terror niemiecki nie był aż tak wielki. W żadnym innym okupowanym regionie obywatele polscy niemieckiego pochodzenia nie odegrali tak dużej roli w eksterminacji polskich sąsiadów.

Do tej pory na podstawie imiennych list ofiar i protokołów ekshumacyjnych ustalono nazwiska 16 tys. ofiar. Erich Maria Remarque twierdził, że „wielka liczba jest pusta”. „Ale jeśli pokażę wam jednego jedynego człowieka w jego doskonałości, jego ufności, jego nadziei i jego trudności, jeśli pokażę wam, jak umiera, wówczas na zawsze zapisze się to w pamięć”.

Liczba 16 tys. to „najmniejsza z możliwych”. Nie wszystkie ofiary udało się zidentyfikować, zaś w co najmniej 30 miejscach kaźni Niemcy w 1944 r. w ramach akcji „1005” wydobyli i spalili ciała zamordowanych. Pełnej skali zbrodni nie poznamy nigdy.

(Nie)zwykły nauczyciel

Wiktor Kaja urodził się w Rządowie w 1891 r. w zaborze pruskim. W 1912 r. zdał maturę w Seminarium Nauczycielskim w Pile i rozpoczął pracę w sześcioklasowej szkole powszechnej w Lwówku.

W czasie I wojny światowej został wcielony do armii niemieckiej i walczył na froncie zachodnim pod Verdun i froncie wschodnim pod Gorlicami, gdzie został ciężko ranny. W latach 1918-1919 brał udział w powstaniu wielkopolskim jako radiotelegrafista.

Po wojnie zaangażował się w działalność Polskiego Związku Zachodniego. Pracował jako nauczyciel w Miasieczku Krajeńskim i Nowej Wsi Ujskiej. W tym czasie ożenił się z Bronisławą Zeidler



Wiktor Kaja z córkami Eugenią, Janiną i Danutą oraz żoną Bronisławą

„Bronką” – łączniczką w czasie powstania wielkopolskiego w Ujściu. Wkrótce urodziły im się trzy córki: Danuta (1926 r.), Janina (1927 r.) i Eugenia (1930 r.). W 1926 r. objął stanowisko kierownika Szkoły Powszechnej, a także Szkoły Dokszałcającej w Białosliwiu, gdzie nauczał przyrody, matematyki, muzyki i religii. Biegle znał język francuski, którego uczył na zajęciach z przysposobienia kupieckiego. Na ścianie w jego gabinecie wisiły portrety Józefa Piłsudskiego, Tadeusza Kościuszki i księcia Józefa Poniatowskiego. Szkoły pod jego kierownictwem kładły duży nacisk na wychowanie patriotyczne i religijne, organizując liczne uroczystości rocznicowe.

14 października 1939 r. członkowie Selbstschutzu, paramilitarnej organizacji skupiającej miejscowych Niemców, zatrzymali wszystkich nauczycieli z powiatu wyrzyskiego. Umieszczono ich w miejscowych więzieniach, a następnie ciężarówkami przewieziono do Nakła nad Notecią.

Wiktor Kaja podczas aresztowania był tak przerażony, że nie mógł samodzielnie się ubrać i założyć butów, powtarzając nieustannie: „Moja żona, moje dzieci”. Trafili do więzienia Selbstschutzu w budynku gimnazjum. Ostatni raz rodziny

odwiedziły aresztowanych 25 października. Trzy dni później już ich w więzieniu nie było.

Polskich nauczycieli oskarżono o znęcanie się nad niemieckimi dziećmi (w międzywojniu dwie trzecie niemieckich dzieci zamieszkałych na Pomorzu uczyło się w polskich szkołach). W niektórych gminach członkowie Selbstschutzu kazali zgłosić się polskim nauczycielom do urzędu gminy po nowy przydział pracy. Innym powiedziano, że muszą się stawić na kurs nauczycielski. Zostali aresztowani i wywiezieni do więzienia w Nakle. Tam przeszukiwano ich i bito. Wiktor Kaja oraz 17 innych polskich nauczycieli zostało zamordowanych w piaskowni we wsi Paterek oddalonej od Nakła o 3 km. Razem z nim rozstrzelano tam ponad 200 Polaków.

Historia rodziny historia regionu

Rodzina Kajów uciekła przed Wehrmachem i dotarła aż na Wołyń. Na Krajnę wróciła dopiero rok później w wyniku wymiany ludności między Niemcami a Sowietami. Przeprawę umożliwił zamarnięty Bug. Córki Kajów trafiły do pracy przymusowej w niemieckich gospodarstwach.

Przez cały okres okupacji rodzina nie wiedziała, co się

stało z Wiktorem. Bronisława Kaja wraz z córką Janiną zidentyfikowały jego zwłoki dopiero podczas ekshumacji w 1945 r. Z 14 masowych grobów wydobyto wówczas 205 czaszek. Co najmniej 61 czaszek zostało mocno lub całkowicie rozbitych, co daje podstawy, by sądzić, że około 25 proc. ofiar nie zginęło w wyniku rozstrzelania, lecz zostało zamordowanych tępymi narzędziami, najprawdopodobniej kolbami karabinów lub łopatami, leżąc w dołach śmierci.

Podczas ekshumacji odnaleziono kilkadziesiąt obrączek, pierścionków, medali, srebrnych cygaretek, portfeli, szczyrów, zegarków i złotych zębów, co wskazuje na to, że cel rabunkowy nie był dla sprawców najważniejszy. Najważniejszym celem było „odpolszczenie” Pomorza i Kujaw i przeobrażenie tego terenu w niemieckie Prusy Zachodnie. W tym celu należało skutecznie pozbyć się polskiej inteligencji i warstwy przywódczej.

Po wojnie Janina została nauczycielką matematyki i fizyki w Technikum Chemicznym w Bydgoszczy, Eugenia – kierownikiem przedszkola, a Danuta księgową. Dziewięćdziesięcioletnia Danuta Walentyn, wspominając ojca,

nie mogła zrozumieć, dlaczego został potraktowany jak zbrodniarz (Verbrecher).

Władysław, brat Wiktora Kai, nauczyciel z Budzyna, został rozstrzelany przez Niemców 7 listopada 1939 r. w Górach Morzewskich, a jego kuzyn ks. Leon Kaja, proboszcz z Sadek, został zamordowany przez Selbstschutz pod Mrozowem w połowie października 1939 r. Inni kuzyni, bracia Florian i Leon, również nauczyciele z Bydgoszczy, zostali zamordowani 1 listopada 1939 r. w Dolinie Śmierci w Fordonie.

Francuski historyk Jacques Le Goff i szkoła „Annales” stworzyli teorię podmiotu (przedmiotu) globalizującego. Poznając koleje losów pewnych osób poznajemy losy całych grup społecznych i najważniejsze problemy danej epoki. Historia rodziny Kajów jest, niestety, reprezentatywna dla wielu nauczycieli i duchownych z Pomorza i Kujaw w 1939 r.

Na 6244 pedagogów z województwa pomorskiego w czasie wojny zginęło 1079, aż 877 (81 proc.) to ofiary zbrodni pomorskiej rozstrzelane jesienią 1939 r. W czasie wojny w Okręgu Rzeszy Gdańsk-Prusy Zachodnie na 634 duchownych zginęło 323 (51 proc.) – najwięcej ze wszystkich ziem wcielonych do Rzeszy. 214 kapłanów

diecezji chełmińskiej zginęło jesienią 1939 r. Najwięcej księży, aż 126, Niemcy zamordowali w październiku.

Mała ojczyzna pamięta

1 września 1969 r. w Szkole Podstawowej w Białosliwiu wmurowano tablicę upamiętniającą Wiktora Kaja. W 2002 r. po rozbudowie placówki ogłoszono plebiscyt na jej patrona. Wśród kandydatów znaleźli się: Arkady Fiedler, Mikołaj Kopernik, Janusz Korczak, Henryk Sienkiewicz i Wiktor Kaja. Głosami uczniów, nauczycieli i rodziców zwyciężył nauczyciel z Krajny.

Podczas uroczystości nadania szkole imienia jego wnuczka Maria Walentyn-Boryca powiedziała: „Zamordowany przez Niemców dziadek towarzyszył mi przez życie jako wzór człowieka o wielu zasługach i cnotach. Był patriotą, człowiekiem o szerokich horyzontach, zainteresowaniach oraz znajomości języków obcych (...). Znany mi jest z przekazów rodzinnych jako człowiek pełen radości, optymizmu, szacunku dla pracy i człowieka. Czuł się związany ze swoją małą ojczyzną – Białosliwiem, szanował obywateli, spisywał dzieje regionu, niósł kaganek oświaty (...). Życie dzieciom i młodzieży, aby w przyszłej zjednoczonej Europie były dumne ze swojej szkoły, nauczycieli, małej ojczyzny – Białosliwia, a wiedza zdobyta w tej pięknej szkole stanowiła początek godnego i ciekawego życia”.

Uszkodzenie mózgu

Rafał Lemkin, polski prawnik żydowskiego pochodzenia, twórca pojęcia ludobójstwo (genocide), pisał, że jeżeli uszkodzimy mózg – cały organizm zostanie sparaliżowany.

W 1939 r. do największego uszkodzenia „polskiego mózgu” – polskich elit, polskiej warstwy przywódczej – doszło na Pomorzu Gdańskim i Kujawach, o czym mogą świadczyć losy Wiktora Kai i jego rodziny. Na okupowanym Pomorzu Niemcy rozpoczęli także stosowanie procedury, który znalazł rozwinięcie w kolejnych latach wojny – unicestwienie ludzi wyłącznie z powodu przynależności do danej grupy społecznej.

WRZEŚNIOWA MATNIA

„W chaosie ucieczki gubiły się rodziny. W rowach leżały połamane wózki dziecięce, byle jak sklezione taczki, rowery z powykręcانymi kołami. Przez tłum starały się przedrzeć oddziały wojska”

dr ANNA CZOCHER,
Oddział IPN w Krakowie

Choć wojna „wisała w powietrzu”, mieszkańcom południowej Polski wydawała się czymś odległym i nieprawdopodobnym. Z jednej strony w ostatnich dniach sierpnia czyniono pośpieszne przygotowania polegające na budowaniu schronów, zabezpieczeniu mieszkań, zaopatrywaniu się w żywność i – jeśli ktoś miał możliwość – w maski przeciwgazowe i medykamenty. Z drugiej nieustannie wierzono, że wojna nie wybuchnie.

A jednak wojna

Wydarzenia z 1 września wywołały szok i strach. Czesława Marchaja, ówczesnego krakowskiego gimnazjalistę, obudził głośny warkot. W swoim dzienniku zanotował: „Ledwie zdążyłem popatrzeć przez okno, gdy mignęła mi czarna sylwetka olbrzymiego (niemieckiego) samolotu (...). Nie, to przecież nie do pomyślenia, by taki kawał od granicy przebył nad polską ziemią i by go nie strącili...”.

A jednak Kraków, położony w odległości około 100 km od granicy z Rzeszą Niemiecką, już pierwszego dnia wojny odczuł jej skutki. Pierwszy nalot był kompletnym zaskoczeniem, ale i wzbudził ciekawość, a miejsca, gdzie spadły bomby, chodzili oglądać przede wszystkim mężczyźni.

Odo Bujwid, bakteriolog, emerytowany profesor uniwersytecki prowadzący w Krakowie zakład produkujący szczepionki, napisał: „2 września 1939. Wczoraj o parę godzin odzywały się syreny zapowiadające atak bombowy. (...) Z początku wszyscy schodzili do schronu (...) Ale powoli wszyscy zaczęli się przyzwyczajać do tej sytuacji i wieczorem już pozostali w mieszkaniach”. Jako schrony służyły przede wszystkim naprędce zaaranżowane pomieszczenia piwniczne.

Alarmy, naloty, cofające się wojsko, niesprawdzone informacje dotyczące bieżącej sytuacji wzmagaly chaos i uruchamiały prymitywne instynkty. Marchaj odnotował: „W takiej to zawierusze wojennej rozbito monopol tytoniowy – a ludzie korzystający z tego, zapomnieli o samolotach, zapomnieli o niebezpieczeństwie grożącym masie ludzi, bo wpa-



Wrześniowi uchodźcy

trzeni byli w złotodajny tytoń (...) było więc za czym poświęcać się i narażać na niebezpieczeństwo”.

Zostać czy iść?

Wybuchowi wojny towarzyszył paniczny lęk przed utratą domu i tym samym utratą stabilizacji. Jednocześnie dla tysięcy osób strach przed konfrontacją z bezpośrednimi działaniami wojennymi, z wojskiem nieprzyjaciela, okazał się silniejszy.

W konsekwencji nastąpiła paniczna ucieczka cywilów, którzy opuścili swoje domy, próbując zostawić w tyle zbliżający się front. O wyruszeniu w drogę zdecydowano w pośpiechu, liczącym w najlepszym razie w godzinach. W Krakowie hasłem do opuszczenia miasta była ewakuacja wojska oraz administracji państwowej i samorządowej, poczty, banków, kolei. Z racji bliskości niemieckiej granicy, wszystko odbywało się w błyskawicznym tempie – masowy exodus na wschód osiągnął szczyt 4 września.

Odo Bujwid odnotował: „Całą noc trwała tłumna uciecz-

ka szosą mogiłą”. Sam nie zdecydował się opuścić miasta: „Czy to ma sens? I dokąd? Ja postanowiłem zostać, podobnie jak podczas ubiegłej wojny”.

Co innego młodzi. W rodzinie Marchajów pierwszy wyruszył Julian, starszy brat Czesława. „Nie pomogły mamusine nawoływania i wstrzymywanie, nie pomogły nawet jej łzy”. Czesław wraz z kolegą wahał się: „nie byliśmy jeszcze zdecydowani co do wymarszu na wschód czy północ, chodziliśmy jak spragnieni rady po mieście, nigdzie jej jednak nie znajdując”. Wyruszyli niemal równocześnie z wkroczeniem Niemców do Krakowa.

Ludzie na drogach

Miejsca zamieszkania opuszczali przede wszystkim mężczyźni, ale i całe rodziny. Część chciała dołączyć do oddziałów wojska, przypuszczając, że organizują się w głębi kraju. Pozostałych do ucieczki skłonił strach oraz próba ochrony siebie i bliskich przed – jak się spodziewano – krótkotrwałą wojną.

Na drogach najwcześniej znaleźli się mieszkańcy miejscowości położonych na zachodnich krańcach Rzeczypospolitej, a fala uciekinierów przesuwająca się na wschód porywała mieszkańców kolejnych miejscowości. O Ślązakach, którzy dotarli do Krakowa Bujwid pisał: „Nogi starszych piechurów poowijane szmatami, bo już obuwie się zdarło”. Róża Nowotarska, śląska harcerka, wspominała pierwsze dni wędrówki: „Płynęliśmy z nurtem szeroko rozlanej rzeki ludzkiej, przybierającej na sile. Spaliśmy na siedząco, na stojąco, nawet chodząc. (...) W chaosie ucieczki gubiły się rodziny. W rowach leżały połamane wózki dziecięce, byle jak sklezione taczki, rowery z powykręcانymi kołami. Przez tłum starały się przedrzeć oddziały wojska (...) Wśród ludzi krążyły bajki i prawdy, domysły i fakty”.

W gruncie rzeczy mało kto wiedział, dokąd zmierza i gdzie zakończy się podróż. Nieliczne były przypadki osób, które kierowały się do konkretnych miejsc, gdzie mogły

spodziewać się możliwości dłuższego pobytu. W cenie były mapy pozwalające choć ogólnie zorientować się w sytuacji. W miarę postępowania wędrówki coraz trudniej było o nocleg, żywność. Kończyły się zapasy, pieniądze. Kolumny uchodźców były ostrzeliwane, a „ludzie na drogach” dołączali do innych ofiar kampanii polskiej, podczas której zginęło niemal trzy razy więcej cywili niż żołnierzy.

Ci, co pozostali

Ludzie, którzy pozostali w miejscu zamieszkania, również doświadczali chwil grozy podczas odwrotu polskiego wojska i czekania na nadejście oddziałów wroga.

Kraków został zajęty przez Niemców 6 września. Marchaj nie dowierzał: „Nawoływania prezydenta (wiceprezydenta Stanisława Klimeckiego – AC) do spokoju (...) potwierdziły tę, zdawać by się mogło, niedorzeczność – Niemcy w Krakowie”. Bujwid odnotował: „Porozklejano po ulicach rozporządzenia, po polsku i niemiecku, wzywające do bezwarunko-

wego oddawania broni i amunicji pod karą śmierci. Na Plantach i w Rynku pełno (niemieckiego – AC) wojska”. Niemcy wzięli zakładników i nawoływali do zachowania spokoju i powrotu do swoich miejsc pracy. Bujwid pod datą 12 września zapisał: „Niemcy w Krakowie zachowują się na razie w sposób przyzwoity, ale już się zaczynają represje przeciw Żydom”. A odnośnie ogółu mieszkańców dodał: „Nawet zamężni ludzie stali się nędzarzami – urzędnicy, emeryci, wdowy, sieroty...” Wkrótce nastąpiły aresztowania wśród krakowskiej inteligencji.

Jeszcze krótko tliła się nadzieja. 22 września Bujwid zanotował: „Wieczorem słuchałem z utęsknieniem, co powie Warszawa (wiadomości radiowe nadawane z Warszawy – AC)”. 26 września stwierdził: „Warszawa jeszcze się trzyma, ale wiadomości o niej docierają tylko przez Londyn”. Zamknięcie warszawskiej rozgłośni było dla słuchaczy jednoznacznym sygnałem zbliżającego się końca walk obronnych. Wcześniej nadzieje na zwycięstwo, jeśli nie przekreśliły, to drastycznie zminimalizowały wiadomości o zajęciu wschodniej części kraju przez ZSRS.

Powroty

Jak po każdej fali uchodźstwa, rozpoczęły się próby powrotu do miejsc zamieszkania. Czesław Marchaj był znów w Krakowie już w połowie września: „Radość w domu nieopisana, oby jeszcze Julek wrócił... Daj Boże”. Wrócił w połowie października.

Ale w rodzinie Bujwidów dalej czekano: „O swoich nic nie wiem. Nie wrócili ani Staś z żoną, ani Kazia z córkami i wnuczkami, nic nie mogę się dowiedzieć o Kaziu Rouppercie, który siedzi gdzieś w obozie jeńców i o jego bracie Leszku”.

Powroty nie zawsze były radosne. Wiele domów i mieszkań zostało zniszczonych lub rozszabrowanych. W wyniku działań wojennych masa osób została trwale okaleczona, szerzyły się choroby. Nowotarska zastała w domu ciężko chorych rodziców. „Twoja nieobecność też nie pomogła...” – usłyszała od siostry. Sama nie była pewna swoich wrześniowych wyborów: „Czy tak było trzeba? Szukałam odpowiedzi. A może – usprawiedliwienia?”.

Rozpoczęła się mająca trwać ponad pięć lat okupacja.

HARCERZE W OBRONIE LWOWA

W obronie Lwowa wzięło udział ponad 500 harcerzy. Co najmniej kilkunastu z nich poległo, wielu było rannych.

Losy tych, którzy podjęli działalność konspiracyjną lub próbowali przedostać się na Zachód, potoczyły się dramatycznie. Zapełniali sowieckie i niemieckie więzienia, część zamordowano lub deportowano do łagrow

dr PAWEŁ NALEŻNIAK,
Oddział IPN w Krakowie

Podczas trwającego dzień dni oblężenia Lwowa przez Niemców piękną wojenną kartę zapisali harcerze. Ich wspomnienia zebrał i opublikował w 2002 r. Janusz Wojtyczka. Za ich pośrednictwem możemy spojrzeć na to wydarzenie oczami pokolenia II Rzeczypospolitej.

Pierwszy szok

Polski plan mobilizacyjny na wypadek wojny przewidywał utworzenie w całym kraju ochotniczych oddziałów wojskowych złożonych z harcerzy. We Lwowie, już w 1938 r., część z nich przeszkolono do obsługi przeciwlotniczych stanowisk obserwacyjnych. Niedługo potem Lwowska Komenda ZHP przystąpiła do organizacji Pogotowia Harcerskiego.

Latem 1939 r., w atmosferze narastającego zagrożenia, harcerze uczestniczyli w kopaniu rowów przeciwlotniczych, rozdzielali maski przeciwgazowe, pełnili służbę patrolową i porządkową. Zygmunt Sługocki wspominał: „Jak większość społeczeństwa nie wierzyliśmy w wojnę, a jeśli już miało do niej dojść, to zwycięzcą mogła być tylko Polska”.

Pierwsze niemieckie bombardowania Lwowa 1 września były dla mieszkańców brutalnym zetknięciem z okrucieństwami wojny. Kazimierz Wiącek wspominał: „...ktoś przyniósł wiadomość, że na ul. Gródecką Niemcy zrzucili bomby. Po pracy tramwajem pojechałem na ul. Gródecką, gdzie zobaczyłem straszny widok - w rejonie kościoła św. Elżbiety leżało pełno trupów”.

Wojenna służba

Tego samego dnia do lwowskiej komendy ZHP zgłosiło się kilkudziesięciu harcerzy, których skierowano do służb pomocniczych. Szybkie postępy Niemców spowodowały, że 5 września przystąpiono do organizowania dwóch Ochotniczych Batalionów Obrony Lwowa (OBOL). W składzie pierwszego zaczęto formować 120-osobową Ochotniczą Kompanię Harcerską (OKH). Jej dowódcą został por. Zbigniew Czeakański, który rozpoczął intensywne szkolenie swych podopiecznych.



Polska artyleria przeciwlotnicza we Lwowie w 1939 r.

Werbunek do OKH prowadzono w siedzibach powiatowych komend uzupełnień przy ulicach Kurkowej 12 i św. Jacka 1. Warunkiem przyjęcia było ukończenie 16 lat oraz odbycie co najmniej rocznego przeszkolenia wojskowego. Rolę tymczasowej bazy OKH pełniła znajdująca się u zbiegu ulic Leona Sapiehy i Andrzeja Potockiego szkoła im. św. Marii Magdaleny. Harcerze spali w sali gimnastycznej, z tornistrami pod głową i w pełnym umundurowaniu. Po niemieckim ataku artyleryjskim, który spowodował śmierć kilku z nich, natychmiast przeniesiono ich do podziemi Politechniki Lwowskiej, a później do Domu Inwalidów Wojennych na Kleparowie. Uzbrojenie harcerzy stanowiły karabiny Lebel pamiętające jeszcze czasy I wojny światowej. Rankiem 22 września przydzielono im nową broń - mauser, których już nie zdążyli użyć, ponieważ Lwów skapitulował przed Armią Czerwoną.

OKH nie była jedyną formacją wojskową obsadzoną przez harcerzy. Kilkudziesięciu z nich służyło także w innych jednostkach operujących na terenie miasta. W walkach

wzięli udział również harcerze z 20. Pułku Piechoty Ziemi Krakowskiej, ewakuowani do Lwowa.

Obok walki na różnych odcinkach frontu do zadań bojowych harcerzy należało przeprowadzanie zwiadu, ochrona stanowisk broni przeciwpancernej i przeciwlotniczej oraz pomoc wojsku w przygotowywaniu stanowisk bojowych. W walce udało im się wziąć do niewoli kilku Niemców. Niezwykłego wyczynu dokonała drużyna dowodzona przez pchor. Władysława Jagiełłę, która przez dwie doby operowała na tyłach wroga, przecinając linie telefoniczne.

Młodszy harcerzom powierzano zadania porządkowe w zakresie służby wartowniczej, łączności, również telefonnicznej, obserwacji na wieży wodnej na Nowym Lwowie, pomocy przy budowie barykad i kopaniu rowów przeciwlotniczych, zabezpieczania zbiorów Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, wyładowywania i przeładowywania amunicji, zaopatrywania w żywność transportów cywilnych i wojskowych na dworcu Lwów - Podzamcze. Skauci ratowali ofiary bombardowań, pełniąc służbę me-

dyczną w drużynach sanitarnoratowniczych i szpitalach.

Obcowanie ze śmiercią

Do zadań harcerzy należało zwalczanie z bronią w ręku dywersji ze strony Niemców i nacjonalistów ukraińskich. Mieczysław Diakun wspominał: „Posuwaliśmy się w sześciu ulicą 29 Listopada, zabudowaną ładnymi domkami z ogródkami od frontu i murkami od ulicy. Nagle silny ogień broni maszynowej z obu stron przycisnął nas do ziemi. Schowaliśmy się za ceglany murkiem. (...) Nie mogliśmy się podnieść i byliśmy odcięci od reszty kompanii.

Postanowiliśmy przeskoczyć mur i wejść do domu. Zdziśiu Mleko, którego ojciec miał sklep z pościelą na placu Mariackim, poderwał się i dostał serię z karabinu maszynowego w brzuch. Ściągnęliśmy go z muru. Rozpacz. Jelita miał na wierzchu. Umierał, ja płakałem. To było straszne. Drugi kolega stracił palce u jednej ręki. Byliśmy bezradni.

Wtem usłyszeliśmy za nami głos porucznika: »Leżeć! To Ukraińcy w nas piorą. Zaraz z nimi skończymy«. Będący za nami rzucili granatami

w okna. Trafili, likwidując gniazda broni maszynowej”.

Najcięższym doświadczeniem harcerzy, co potwierdza ta relacja, było codzienne obcowanie ze śmiercią. Świadome zagrożenie dowództwo OKH zarządziło ogólną spowiedź *in articulo mortis*. Ogólne wyczerpanie żołnierzy potęgowały powtarzające się alarmy oraz bombardowania. Jak wspominali, siły dodawała im wiara w Boga oraz świadomość walki w obronie ojczyzny i ukochanego miasta.

Dramat kapitulacji

Szpica niemieckiej 1. Dywizji Górskiej dotarła pod Lwów 12 września, próbując zająć go z marszu. Polacy odparli atak, ale odtąd miasto było ostrzeliwane zarówno przez artylerię, jak i przez lotnictwo, a pierścienie wokół niego systematycznie się zaciskały. O jego losie ostatecznie przesądziła sowiecka agresja na Rzeczpospolitą. Od 20 września Lwów był oblegany już nie tylko przez Wehrmacht, ale także przez Armię Czerwoną.

Dwa dni później dowództwo polskie zdecydowało o kapitulacji miasta przed Sowietami. Kazimierz Ratymirski,

wspominał: „(Na Cmentarzu Janowskim - PN) na Krzyż Lotników (w rzeczywistości był to Krzyż Obrońców Lwowa z lat 1918-1920 - PN) została wciągnięta biała flaga. Padł rozkaz składania broni. Dowódca, który wydał ten rozkaz strzelił sobie w skroń. Broń rzucono na przymę. Wielu jednak broń zakopywało lub wrzucało do grobowców. Rozchodziliśmy się małymi grupkami”.

Wśród żołnierzy OKH, którzy podjęli próbę ukrycia broni był Zygmunt Jaworski: „Razem z druhem Hekslem zakopaliśmy karabiny wraz z amunicją w ogrodzie oficyny domu przy ul. Działyńskich 11, jednak po kilku godzinach zostaliśmy zmuszeni do wykopania jej i oddania na punkcie obsługiwanym przez miejscowych Żydów. Musieliśmy to zrobić, bo fakt zakopania broni widziała Ukrainka, mieszkająca w tej kamienicy, która zagroziła nam doniesieniem do władz sowieckich”.

We Lwowie ujawniały się coraz bardziej antypolskie uprzedzenia mniejszości narodowych i miejscowych komunistów. Utworzone przez nich patrole milicji ludowej rozbrajały polskich żołnierzy i wskazywały sowietom „wrogów ludu”. W mieście zapanowały rozpacz i strach.

Przerażenie budził sam wygląd czerwonarmistów. Feliks Cały wspominał: „Jechali na koniach. (...) Konie nie dobrane, ani pod względem wzrostu, ani maści. Byli w szarych szynelach i takich samych czapkach ze szpiczastym czubem jak kapuzy. Trzymali długie karabiny gotowe do strzału. (...) »Zamykać okna, bo strzelamy!« I faktycznie, jeśli ktoś na czas nie zamknął okna, w tym kierunku strzelano. Wszystko to robiło niesamowite wrażenie”.

W obronie Lwowa wzięło udział ponad 500 harcerzy. Co najmniej kilkunastu z nich poległo, wielu było rannych. Losy tych, którzy podjęli działalność konspiracyjną lub próbowali przedostać się na Zachód potoczyły się dramatycznie. Zapełniali sowieckie i niemieckie więzienia, część zamordowano lub deportowano do łagrow. Wśród tych, którzy przeżyli, byli późniejsi żołnierze Armii Andersa, uczestnicy „Burzy” lub obrońcy polskich miejscowości przed atakami nacjonalistów ukraińskich.

WARSZAWA I JEJ PREZYDENT W WALCE O PRZETRWANIE

Przemówienia radiowe Stefana Starzyńskiego brzmiały jak głos autentycznego przywódcy walczącego kraju.

Ton jego głosu mówił czasem o sytuacji w Warszawie więcej niż wypowiedane słowa

dr ROBERT SPAŁEK,
Oddział IPN w Warszawie

Bomby na Warszawę spadły już 1 września o świcie. Wielu mieszkańców początkowo myślało, że to próbny alarm, który rozpoczął ćwiczenia lotnicze. Potem ruszono na sklepy – ludzie wykupywali, co się dało. Odnotowano pierwsze ofiary cywilne. Ulica jeszcze wierzyła w przedwrześniowe propagandowe zapewnienia, plotkowano więc, że polskie samoloty zbombardowały Berlin (taka informacja ukazała się w „Ekspresie Porannym”), a niosący pomoc Brytyjczycy wylądowali na Helu. Ale w istocie miasto pogrążało się w chaosie. Wkrótce przestały kursować tramwaje, a autobusy zarekwirowało wojsko. Coraz częstsze i zuchwalsze stawały się rabunki, niektórych ogarniała panika. Uciekinierzy ciągnęli ze sobą żywy dobytek – konie, krowy, drób.

Prezydent warszawiaków

Prezydent stolicy Stefan Starzyński przez kilka pierwszych dni utrzymywał stały kontakt z premierem, ministrami i generalicją. Nie otrzymywał od nich żadnych instrukcji, stwierdził że „potracili głowy” i należy liczyć tylko na siebie.

Od poniedziałku 4 września najwyższe władze państwowe szykowały się do ewakuacji z miasta. Prezydent RP, rząd, ministrowie i instytucje państwowe przenosili się do Lublina. Przed rządowymi willami ustawiały się rzędy ciężarówek, do których żołnierze przenosili z domów wódkarzy pościel, dywany, firanki, meble itp. Na warszawiakach robiło to fatalne wrażenie. Jednocześnie nadeszły pierwsze duże transporty rannych z frontu. Szerzyły się niepomyślnie wiadomości i złowrogie plotki. Bomby spadły na Grochów, Pragę, Wólę, Okęcie. A jednak w całym tym chaosie kawiarnie w mieście nadal tętniły życiem, a wśród klientów nie brakowało optymistów.

5 września Stefan Starzyński przez radio wezwał wszystkich do budowy barykad. Warszawiacy spontanicz-



Stefan Starzyński przemawia podczas posiedzenia Rady Miejskiej, marzec 1939 r.

nie odpowiedzieli na apel i ruszyli do pracy, ale bezplanowo. Zasiłki powstały więc nie tam, gdzie trzeba i do tego z materiałów łatwopalnych, bo upychano w nie nawet pościel. Prezydent każdego dnia starał się samochodem objechać miasto, by mieć rozeznanie w stratach. Niezbędne okazało się powołanie Pogotowia Technicznego, które zajęło się zabezpieczaniem zniszczonych domów przed zawaleniem i wydobywaniem zasypanych osób.

Starzyński utworzył też Straż Obywatelską w miejsce ewakuowanej policji oraz by postawić posterunki przy instytucjach państwowych i placówkach dyplomatycznych. Ponadto zorganizował oficjalny komitet samopomocy, który stał się swego rodzaju stołecznym resortem opieki społecznej, niosącym pomoc cywilom i ułatwiającym im współpracę z wojskiem. Członkowie tego komitetu zaopiekowali się tysiącami pogorzelców, sierot i zaginionych dzieci.

Mimo wielu udanych inicjatyw, widocznego hartu ducha i energii do działania, każdego dnia Starzyński miał coraz więcej kłopotów z pozyskaniem ludzi do współpracy. Pożądane przez niego osoby sukcesywnie opuszczały stolicę. 6 września został wezwany do Dowództwa Obrony Warszawy. Nakazano mu zostać na miejscu. Oczekiwano, że zmobilizuje ludność do walki i prac pomocniczych.

Obrona miasta

Dzień później nalot niemiecki doprowadził do pożarów w rejonach dworców Wileńskiego i Wschodniego, a także osiedla na Targówku. Władze wojskowe 8 września zarządziły obronę miasta, a Starzyńskiego mianowały komisarzem cywilnym – odtąd podlegały mu bezpośrednio wszystkie lokalne urzędy cywilne – stał się miejskim „dyktatorem”. Znalazł się w swoim żywiole, w ratuszu pracowało 24 godziny na dobę. W gabinetach rozstawiono składane łóżka, niektó-

rzy urzędnicy miejsca korzystali z okolicznych hoteli.

Do utrwalenia legendy bohaterskiego prezydenta miasta przyczyniły się jego codzienne wystąpienia w Polskim Radiu. Przez kilka pierwszych dni wojny fale radiowe z Warszawy docierały wciąż do Wilna, Lwowa, Budapesztu. Przemówienia Starzyńskiego brzmiały jak głos autentycznego przywódcy walczącego kraju. Zagraniczni dziennikarze celowo prowadzili nasłuch radiowy, by mieć informacje z pierwszej ręki. Ton jego głosu mówił czasem więcej o całej sytuacji niż wypowiedane słowa. Zmęczony Starzyński coraz bardziej chryphał. Mieszkańcy zaczęli więc znosić do ratusza medykamenty apteczne i domowej roboty, a nawet alkohol „dla podreperowania gardła pana prezydenta”. A on podnosił słuchaczy na duchu.

W piątek, 8 września Niemcy opublikowali komunikat o przedarciu się oddziałów pancernych do stolicy, która

została ostrzelana przez artylerię polową i po raz kolejny zbombardowana. Następnego dnia miasto przystąpiło do obrony. Wiadomość o tym, że Warszawa się broni, dodała niektórym odwagi na tyle, że 9 września powróciło tysiące uciekinierów. Starzyński stale przekonywał, że trzeba przyzwyczaić się do ataków i pracować jak się da. A po pracy sprzątać swoje okolice, szczotkami i łopatami usuwać zniszczenia. „Jest to nasz święty obowiązek” – przekonywał.

Od 10 września Niemcy bombardowali już także centrum Warszawy. Dzień później rozpoczął się regularny ostrzał artylerii. Na ulicach godzinami leżały nieopogrzebane trupy – ciała chowano najczęściej po zmroku. Ludzie w amoku po raz kolejny wędrowali ze swoim dobytkiem tam i z powrotem. Dla uspokojenia nastrojów Starzyński przemawiał przez radio po kilka razy dziennie.

Dokonać niemożliwego

To niemal nieprawdopodobne, ale wspólnymi siłami – władz i mieszkańców – udało się uruchomić ponownie niektóre tramwaje, otworzyć część sklepów, uporządkować ulice. Apele Starzyńskiego były powszechnie przyjmowane bez szemrania. Ludzie chcieli go słuchać i słuchali – potrzebowali przywódcy. Przez dwa tygodnie duch oporu mieszkańców miał się dobrze, choć powtarzano, że „coraz głodniej w mieście”.

17 września Niemcy ostrzelali Zamek Królewski, płonęły osiedla domów we wszystkich dzielnicach, a także zabytki oraz szpitale. Mimo wszystko twarda postawa Starzyńskiego podtrzymała w mieszkańcach męstwo, sprawiła, iż funkcjonowały urzędy, piekarnie dzień w dzień piekły chleb, listonosze roznosili pocztę, a 19 września po Śródmieściu zaczęła kursować autobus.

Tyle że i Niemcy pozostali nieustępliwi w natarciu, dalekim od obowiązujących konwencji wojennych. Nazajutrz kilkadziesiąt samolotów zbombardowało po raz kolejny obiekty cywilne w centrum Warszawy i części Pragi.

Szkody trudno byłoby zliczyć. Pękały rury wodociągowe, zaczęło brakować prądu.

23 września Starzyński wypowiedział przez radio słowa, które weszły do historii: „Chciałem, by Warszawa była wielka. Wierzyłem, że wielka będzie. Ja i moi współpracownicy kreśliśmy plany wielkiej Warszawy przyszłości. I Warszawa jest wielka! Prędzej to nastąpiło, niż przypuszczaliśmy. (...) I choć tam, gdzie miały być wspaniałe sierocińce, gruzi leżą, choć tam, gdzie miały być parki, dziś są barykady gęsto trupami pokryte, choć płoną nasze biblioteki, choć palą się szpitale – nie za sto lat, lecz dziś Warszawa broniąca honoru Polski jest u szczytu swej wielkości i sławy!”.

Kapitulacja z rozsądku

Starzyński zdawał się nie akceptować głosów namawiających go do kapitulacji. Ale 25 września Niemcy dokonali zmasowanego, tzw. dywanowego, nalotu. Miasto zapłonęło w około dwustu miejscach, a ognia nie było czym gasić, bo brakowało wody. Warszawiakom zagroziła epidemia. Szpitale leżały w gruzach, a tysiące ludzi zostało zabitych od bomb i odłamków, przywalonych i zaduszonych w piwnicach i schronach. Gruzy zasypały też medykamenty i żywność. Żołnierze od kilku dni nie jedli gorącego posiłku i coraz częściej brakowało im amunicji.

Umowę kapitulacyjną podpisano 28 września. Najeźdźcy niemieccy pozwolili Starzyńskiemu pozostać na stanowisku komisarza cywilnego. Był gotów współpracować z Niemcami, by chronić ludność i zapewnić jej aprowizację, komunikację i podstawowe warunki codziennego bytowania. Chciał widzieć w okupantach ludzi racjonalnych. A jednak został aresztowany 27 października. Po długim, ponad miesięcznym śledztwie został rozstrzelany przez gestapo w Warszawie między 21 a 23 grudnia 1939 r.

Do dziś nie wiemy, gdzie pochowano ciało Starzyńskiego – jego symboliczny grób znajduje się na stołecznych Starych Powązkach.

WOJENNE LOSY LUDOWCÓW Z KIELECCYZNY

Wincenty Witos zaapelował do mieszkańców wsi o zachowanie postawy patriotycznej w obliczu zagrożenia kraju. Stwierdził: „Wolność Polski okupiona została ofiarą krwi i wolność ta musi być przez wszystkich, bez wyjątku, broniona!”

dr MARZENA GROSICKA,
Delegatura IPN w Kielcach

Kielecczyzna należy do regionów rolniczych, a w okresie międzywojennym dużą rolę na tym terenie odgrywał ruch ludowy. W maju 1939 r. podczas wojewódzkiego zjazdu Stronnictwa Ludowego w Kielcach przemówienie wygłosił trzykrotny premier Rzeczypospolitej Polskiej, wybitny działacz ludowy Wincenty Witos. Zaapelował do mieszkańców wsi o zachowanie postawy patriotycznej w obliczu zagrożenia kraju. Stwierdził: „Wolność Polski okupiona została ofiarą krwi i wolność ta musi być przez wszystkich, bez wyjątku, broniona!”

Po wybuchu II wojny światowej wieś stała się ważnym terenem walki z niemieckim okupantem. Ludowcy angażowali się nie tylko w działalność polityczną w strukturach Stronnictwa Ludowego „Roch”, ale i w walkę zbrojną w ramach Batalionów Chłopskich. Wiele osób włączyło się w tajne nauczanie, pracę oświatową, prasowo-wydawniczą lub medyczno-sanitarną.

Władysław Zwiejski broni Kresów

Pochodzący z powiatu opatowskiego Władysław Zwiejski był znanym na Kielecczyźnie działaczem ruchu ludowego. Urodził się w 1908 r. Wychował się w biednej wiejskiej rodzinie, a mimo to, dzięki swojej ciężkiej pracy i pomocy bliskich, zdobył wyższe wykształcenie. W 1933 r. ukończył Wydział Prawa Uniwersytetu Warszawskiego.

Od czasów gimnazjalnych udzielał się w młodzieżowych organizacjach ruchu ludowego, kontynuował tę aktywność w PSL „Wyzwolenie” i SL. W 1934 r. uzyskał zatrudnienie w Urzędzie Skarbowym w Krzemieńcu na Wołyniu, a od 1937 r. pracował jako referent prawny w słynnym Liceum Krzemienieckim. Publikował w tym czasie artykuły o tematyce społeczno-oświatowej. W latach 1928–1929 służył w Szkole Podchorążych Rezerwy Piechoty w Gródku Jagiellońskim. Następnie systematycznie odbywał kilkutygodniowe ćwiczenia i szkolenia dla rezerwistów. W 1938 r. został porucznikiem rezerwy w korpusie oficerów żandarmerii.

W chwili wybuchu wojny Zwiejski przebywał na Wołyniu. Po ogłoszeniu mobilizacji dotarł z Krzemieńca do Lwowa i znalazł się w koszarach 3. Dywizjonu Żandarmerii. Po załatwieniu formalności objął dowództwo nad jednym z plutonów żandarmerii.

Pierwsze chwile wojny wspominał następująco: „Rano 1 września usłyszeliśmy głosy urządzeń alarmo-

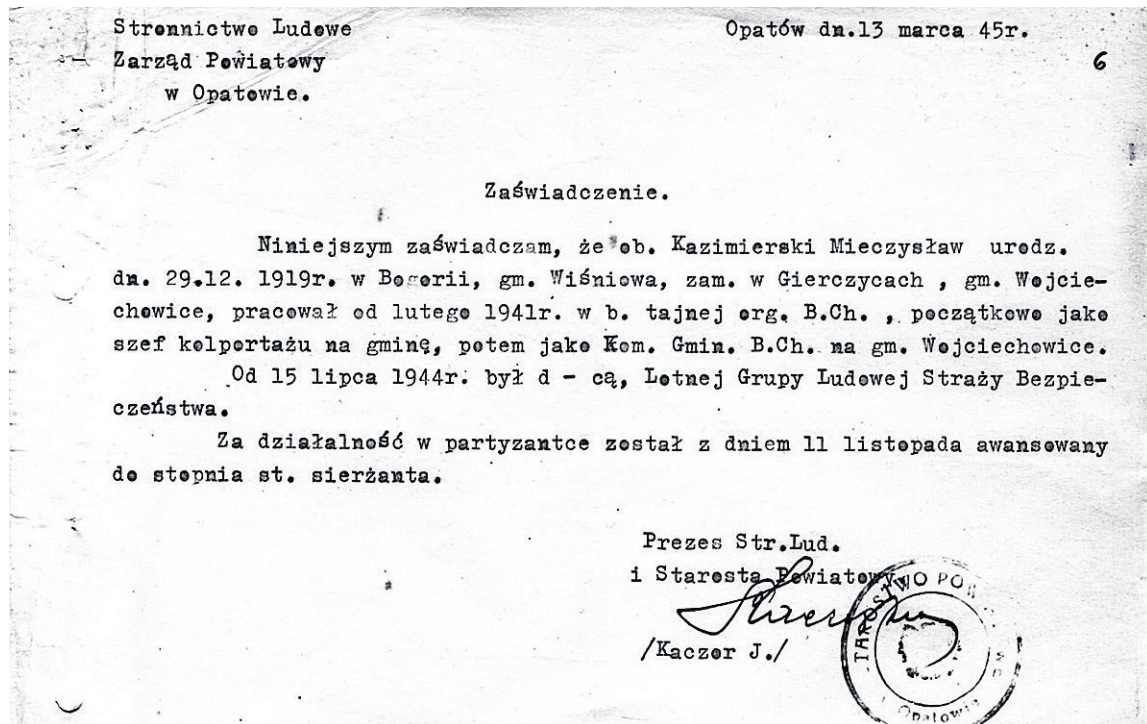


Władysław Zwiejski, 1942 r.

wych w związku ze zbliżającym się nalotem samolotów niemieckich. Część żołnierzy pobięła do rowu na dziedzińcu koszarowym, uczyniłem to i ja z nimi. Kilku zaś, którzy tego dnia rano, może przed godziną, przybyli do koszar, nie pobiegli do rowu, lecz do pobliskiej sterty słomy i pod nią się położyli. Lecące bardzo wysoko samoloty wroga rzuciły bomby na znajdujące się w pobliżu koszary ułańskie, przy których stała sterta słomy. Jedna z bomb upadła obok sterty, zabijając czterech leżących pod nią żołnierzy. Natychmiast znalazłem się przy nich i widziałem, jak uchodziło z nich życie, jak młodzi, dorodni mężczyźni, którzy prawie przed chwilą podjęli służbę, odeszli z tego świata. Było to straszne przeżycie”.

Tego samego dnia Zwiejski otrzymał rozkaz stawienia się u dowódcy obrony Lwowa gen. Władysława Langnera. Został wraz z plutonem skierowany do miejscowości Winniki, gdzie przydzielono im odpowiednie środki transportu. Następnie pod osłoną nocy mieli udać się w kierunku frontu, do Gródka Jagiellońskiego, aby tam regulować wzrastający napływ uchodźców wojskowych i cywilnych.

Podróż do Gródka nie należała do łatwych, bowiem drogi na różnych odcinkach zostały zbombardowane. Po dotarciu na miejsce Zwiejski chciał skontaktować się z miejscową komendą policji i zgodnie z rozkazem współpracować z nią i lokalnymi władzami. Okazało się jednak, że nikogo na miejscu już nie było. Pomimo tego pluton zaczął wypełniać powierzone mu zadanie. Żandarmi zatrzymywali uchodźców wojskowych i cywilnych, rozdzielali ich, a następnie tworzyli specjalne oddziały. Wojskowych kierowali do Lwowa, a cywilów



Zaświadczenie potwierdzające działalność Mieczysława Kazimierskiego w Batalionach Chłopskich

w kierunku Janowa. Kilka dni później ich służbę skontrolował gen. Langner. Nie miał zastrzeżeń. Praca w Gródku trwała do 13 września.

Następnie nocą udali się lasami do Janowa. Zwiejski miał coraz mniej podkomendnych, bowiem pochodzący z tych okolic żołnierze pozostawali z rodzinami. Sam udał się na wschód w kierunku Wołynia. W trakcie wędrówki dowiedział się o wkroczeniu Sowietów – sytuacja na tym terenie stawała się coraz bardziej niebezpieczna. Przez kilka dni przebywał w domu jednego z podkomendnych, który dał mu cywilne ubranie. Następnie znalazł się w Krzemieńcu, gdzie w obawie przed aresztowaniem musiał się ukrywać. Uniknął niewoli i po kilku miesiącach rozpoczął trudną i niebezpieczną wędrówkę w rodzinne strony.

Mieczysław Kazimierski na granicy z Prusami

Mieczysław Kazimierski urodził się w 1919 r. w Bogorii w powiecie sandomierskim, ukończył dwie klasy gimnazjum, a w 1938 r. wstąpił do wojska jako ochotnik. Służył w 1. Pułku Szwoleżców Józefa Piłsudskiego w Warszawie. W lutym 1939 r. rozpoczął sześciomiesięczną szkołę podoficerską, którą ukończył osiągając pierwszą lokatę i awans na stopień kaprała. Następnie pracował w dowództwie 1. Pułku jako kancelista. Pod koniec sierpnia, w związku z zagrożeniem wojennym,

na własną prośbę został wysłany na front, na granicę z Prusami Wschodnimi, w rejon Chorzele.

Wybuch wojny Kazimierski wspominał następująco: „Alarm! W tym momencie usłyszałem też pierwsze wybuchy pocisków artyleryjskich. Przelotnie spojrziałem na zegarek – była godzina 4.45 rano. Był to dzień 1 września 1939 r. (...) Mgiem poprawiliśmy oporządzenie, otrzepaliśmy się ze słomy, wyprowadziliśmy konie i podciągawszy popręgi u siodeł stanęliśmy na placu alarmowym. Wybuchy pocisków artyleryjskich były coraz liczniejsze i bliższe, w tej samej chwili ujrzelśmy biegnącego od granicy funkcjonariusza Straży Granicznej, który przerażony krzychał »Nasz patrol został wybity przez Niemców, którzy przekroczyli już granicę państwową«. Oskoczyliśmy konno w tył, gdzie nasze oddziały zostały spieszone (odtąd walczyły bez koni – MG), koniowodni odprowadzili konie na pewną odległość, a my w szyku pieszym przygotowaliśmy się do odparcia ataku nieprzyjaciela (...). Śpiąc w marszu, głodni, nie do wiary przemęczeni, dzieśiatkowani przez samoloty i czołgi wycofywaliśmy się (...) aż w okolicę Hrubieszowa, gdzie w dniu 24 września pułk nasz złożył broń”.

Ponownie na Kielecczyźnie

Po powrocie na Kielecczyznę Władysław Zwiejski pod pseudonimem

„Jaruga” włączył się w działalność konspiracyjnego ruchu ludowego. Objął stanowisko przewodniczącego powiatowego kierownictwa Stronnictwa Ludowego „Roch” w Opatowie. Był współautorem ogólnopolskiej instrukcji organizacyjnej Straży Chłopskiej i pomysłodawcą nowej nazwy formacji zbrojnej ludowców – Bataliony Chłopskie. Został komendantem opatowskiego Obwodu BCh i był aktywny do końca okupacji niemieckiej, a po zakończeniu wojny zaangażował się w pracę opozycyjnego Polskiego Stronnictwa Ludowego.

Mieczysław Kazimierski powrócił na Kielecczyznę do wsi Gierczyce w powiecie opatowskim. Związał swoje losy z konspiracyjnym ruchem ludowym, posługiwał się pseudonimami „Prymus” i „Orkan”. Wstąpił do Batalionów Chłopskich, był szefem łączności i kolportażu, a następnie komendantem gminnym BCh. W 1944 r. został dowódcą Oddziału Specjalnego Ludowej Straży Bezpieczeństwa, działającego w powiecie opatowskim. Konspiracyjna działalność złączyła jego losy z komendantem tamtejszego Obwodu BCh Władysławem Zwiejsem, którego „Orkan” po latach wspominał jako wspaniałego dowódcę i niezwyklego człowieka.

REDAKCJA: Anna Czocher, Joanna Lubicka,
Marek Długopolski (redaktor techniczny)